



Amerykańska powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył J. R.

7 (Ciąg dalszy).

— Co? Zabić go?

— *Damn it* — *yes!*

Grabber wstał.

— *Good bye!* Nie chcę do tego ręki przykładać.

Ale Todd zmusił go do tego, że usiadł jeszcze.

— Nie bądź głupcem — rzekł. — Włamywacz ma rację. Tak się stać musi — w każdym razie. Jeżeli on ma pieniądze i my je wydrzemy, to on musi umrzeć; jeżeli on pieniędzy niema — to również musi umrzeć. Policja, a nawet stary Vanderhook, jednym słowem wszyscy, będą przekonani, że Miles razem ze zrabowanymi pieniędzmi i ze swymi towarzyszami uciekł, a wtedy rzecz skończona.

— Ja sędzę taksamo — dodał Bill Crookej — zatem rzecz już skończona. Lone Jack już wie o wszystkim. Była tu jego kobieta, której oddałem dla niego list, pisany najczystsza angielszczyzną, a w liście tym wszystko mu wyłożyłem. A teraz, chłopcy, czas do domu. Jest godzina pierwsza po północy, a o tym czasie oczekuje mnie „szalona Zośka“, u której tymczasowo mieszkam. Wspaniała dziewczyna, moi chłopcy, wspaniała. A teraz, dobranoc. Wszystko dobrze?

Klasnęli w wyciągnięte dłonie na znak zgody. Todd, który już nabił rewolwer trzema kulami, to jest trzy życia ludzkie miał już na sumieniu, entuzjastycznie, Grabber trochę leniwie.

— Do jutra więc, Billu. Wspaniały z ciebie drab — rzekł jeden.

— *Well*, jeżeli trzeba, to i ja nim jestem — mruknął drugi.

Bill Crookej skinął głową raz jeszcze, przesłał szynkarzowi całusa ręką i wyniósł się z szynkowni.

Po chwili wszystkich trzech osłoniły cienie nocy. Każdy szedł osobno, za swoim interesem. Bill do „szalonej Zośki“, Todd i Grabber na żer.

VII.

W ciemnej sieni jednego z domów przy Broodway stali znowu razem piękna Lydia i Bob Murphy. Na ulicy, w jasnych potokach elektrycznego światła, przevalała się fala przechodniów, gorąco spieszących w tę lub ową stronę. W regularnych odstępach czasu rozlegał się po ulicy turkot pociągu kolei napowietrznej. Czarne cienie wielkich słupów żelaznych, podpierających tor kolei napowietrznej, słały się ciemnymi plamami po ulicy, sięgając aż do bramy, w której stali Bob Murphy i Lydia. Poza sienią leżał wielki pusty dziedziniec. Ani Bob ani Lydia nie potrzebowali się obawiać, że ich ktoś może podsłuchać. Sień

bowiem, w której stali, leżała w znacznej odległości od ulicy.

Lydia wyszła z sieni na ulicę i spojrzała na zegarek.

— Kwadrans na szóstą — rzekła. — Ma pan więc jeszcze trzy kwadransy czasu, zanim pan rozpocznie swą służbę.

— To mi obojętne — rzekł Bob z odcieniem niezadowolenia w głosie. — Możeby nawet było lepiej iść od razu do służby. Ja już pani nie wierzę, bo pani kpi ze mnie.

— Rzeczywiście miałam taki zamiar — szepnęła.

— A więc. Jeszcze mi pani winna całusa.

— Tu, na ulicy? Nie, na ulicy tego nigdy nie zrobię.

— *All right!* Chodźmy zatem do sieni.

— Nie. Tego także nie zrobię, mój Murphy. Ale pan tego całusa dostaniesz. Jednak będzie to pana trochę kosztowało.

— Mianowicie?

— Cierpliwości, Bob. Będiesz pan miał dowód, że pana kocham. Muszę się tylko zdecydować, bo wyjadę z rzeczą, której skutku nie mogę na razie przewidzieć. Zbliż się pan!

Zaprowadziła go w głąb ulicy, podniosła woalkę i chwyciła go za rękę.

— Czy mnie pan znasz, Bob, przypatrz mi się pan dobrze!

— Co to znaczy? Dosyć się już na panią natrzymałem.

— Ja na pana również — zaśmiała się cicho. — A teraz jedno pytanie. Uwaga: Czy pan znasz Billa Crookej?

Ręka stróża zadrżała w ręku dziewczęcia.

— Kogo? Billa Crookeja? — wybuchnął z impetem.

— Tak jest, Billa Crookej. Chciałeś pan przecież dowodu mojej miłości. Jednak idźmy dalej: Znasz pan Todda, znasz pan Grabbera?

Bob Murphy, nieświadomy co robi, począł się cofać.

— Co to znaczy, dziewczę? Skąd pani zna te nazwiska?

— Czy pan ich zna?

— Nie!

— Kłamiesz pan, panie Murphy, ja znam pana lepiej, niż pan sądzi.

— Do kroćset dyabłów, któż pani jesteś?!

— Ja? Byłoby mi przyjemniej, gdybyś mnie pan już znał. Nazywają mnie „szaloną Zośką“.

— Co? — Bob nie wytrzymał dłużej. — „Szalona Zośka“? Kochanka Billa Crookeja?

— Tak jest, teraz pan rozumiesz, dlaczego się wzdragałam dać panu całusa. Onby mnie zabił, gdyby się dowiedział, że ja z panem się wdaję. Ale, jeżeli o mnie chodzi, to niech go wszyscy dyabli wezmą — chcesz pan, to zostanę przy panu.

Bob oddychał ciężko, rękę wsunął do kieszeni i chwycił rękojeść sztyletu.

— Jeżeli ci mam wierzyć, dziewczyno, to tłumacz się jasno — wyrzekł powoli — stawia pani bardzo wiele na kartę.

— Wiem o tem — szepnęła — ale nie sądzę pan, że mnie pan zdolasz przestraszyć. Jeden podejrzany ruch z pańskiej strony, a żdźgnę pana sztyletem pierś. Wyjmij pan rękę z kieszeni — jeszcze pan nie znasz „szalonej Zośki“.

Bob wyjął rękę z kieszeni i roześmiał się.

— Tak, to z pewnością szalona Zośka. Na zbawienie duszy, ale też dała mi jakby w pysk swoją odwagę! Czego pani jednak chce w banku?

— Nie domyślasz się pan?

— Pilnować młodego Vanderhooka?

— Od tego przecież pan jesteś.

— *Well* — więc co?

— No — pilnować pana.

— Co! Mnie?

— Tak jest, pana! Bill Crookej przysięga się na to, że pan masz pieniądze — i, niech mnie dyabli wezmą, ale ja sędzę, że ma rację. Gdyby nie ja, oni by już z panem byli zrobili porządek.

— Piekelniki! Więc oni mnie posadzają?

— I słusznie!

Nastała chwila ciszy. Bob Murphy toczył ze sobą, jak się zdawało, ciężką walkę.

— Zośka — rzekł wreszcie, obejmując ramieniem smukłą postać dziewczęcia — powiedz szczerze, czy ty mnie kochasz?

— Jeśli pan masz dwa miliony dolarów — odparła z uśmiechem — to jestem w panu po uszy zakochana.

— A jeśli nie mam?

— Hm, to także odrobinę.

— *Well*, niech pani tylko zostanie przy mnie. Może być, że ja tam mam trochę grosza.

— Wobec takich okoliczności pójdę z panem na koniec świata. Ale musisz mi pan dać część pieniędzy, żebym nie była od pana tak zupełnie zależna.

— To się rozumie. Pani jesteś, dalibóg, najsprytniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek w życiu spotkałem. Jenó, jeśli mnie pani nie oszukuje i myśli na serio zawrzeć ze mną stosunek, to trzeba się spieszyć, bo nie mamy czasu do stracenia.

— A gdzie pan masz pieniądze? Czy dobrze schowane? — zapytała prędko.

— No, o tem potem.

— Przepysznie! Że pan jednak zdecydował się na coś podobnego?! Dotychczas uważałam Billa Crookeja za największego geniusza złodziejskiego w Ameryce, bo inaczej nie byłabym przecie jego kochanką — ale, jak mi Bóg miły, pan go przerosłeś!

— Co? Widzi pani? Haha! Bill to chłopaczek, pożałowania godny zbrodniarz. Niechno się jenó stąd szczęśliwie wydostaniemy, a wtedy się pokaże